

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Marzenia dziewczęcia.

Biała pajęczyna

Scierniska okryła,
Oj, żebym ja prędko
Szyć się nauczyła
Wyszyłabym sobie
Bieluchną chusteczkę,
Braciszкови memu
Sliczną koszuleczkę.
Nosiłby braciszek
Piękną tę koszulkę,
Modliłby się ze mną
Za naszą matulkę,
Że mnie tak młodzieluchno
Szyć już nauczyła,
Żem mu koszuleczkę
Tak pięknie uszyła.

Dzieje Narodu Polskiego

OKRES V.

(Ciąg dalszy.)

Rząd polski, na czele którego stał książę Czartoryski, złożył z naczelnego dowództwa Skrzyneckiego, a w jego miejsce został mianowany Dembiński, który się wstawił wielce odwrotem

z Litwy. Moskale w ogromnej sile ruszyli pod wodzą Paszkiewicza na Warszawę, która się 8 września 1831 r. poddała. Odznaczył się podczas szturmu generał Sowiński, który na okopach Woli stawiając mężnie czoło nieprzyjacielowi, poległ. Obwiniają powszechnie Krukowieckiego o zdradę, że poddał Warszawę, atoli wyraźnym, zaprzędanym zdrajcą zapewne nie był — błędził jak wielu innych.

W końcu przeszło wojsko polskie do Prus i Austrii, gdzie broń złożyło. Ostatnim wodzem naczelnym był Rybiński, ale ten nie odznaczył się żadnym dzielnym czynem, chyba że zakończył powstanie przeprowadzeniem wojska za granicę. Do powstania 1831 r. odnosi się następujący urywek: „Chłopiek nas zawiódł, skrzynka nas zamknęła, kruk oko wydziobał, ryba zatopiła”. Chłopiecki zawiódł zaufanie narodu, Skrzynecki bezczynnością zamknął, ubezwładnił najpiękniejszy zapal, Krukowiecki oddał Warszawę, stolicę tj. oko narodu, a Rybiński ukończył czyli zatopił sprawę powstania.

Powstanie 29 listopada 1830 r. jest bardzo ważnem, gdyż okazało światu, że Polacy jeszcze żyją, a przytem rozbudziło dzielnie ducha narodowego, ztąd słusznie, że gorliwi Polacy obchodzą pamiątkę 29 listopada uroczystymi obchodami — wprowadzili nie wśród huku dział, bębnow i dzwonów, ale skromnie i poważnie w kościołach i w zakątkach rodzinnych.

Zakończenie.

Po r. 1830 nie ma wiele do pisanja, przynajmniej nie pocieszającego. Ucisk, niewola, rozpacz, kajdany, więzienie są po dziś dzień udziałem wiernych synów Polski.

Roku 1846 chcieli Polacy ogłosić ogólne powstanie w całej Polsce, atoli zamiar ten się nie udał, a w Galicyi nawet nastąpiła straszna rzeź galicyjska. Za namową naszych wrogów lud wiejski rzucił się na szlachtę, mordując własnych braci.

Roku 1848 zdawało się, że zajaśniała dla Polski godzina odrodzenia. W Księstwie Poznańskim rząd pruski pozwolił na tworzenie wojska polskiego, nad którem objął dowództwo smutnej pamięci Mierosławski. Pod Miłosławiem, Wrzesnią i Książem przyszło do potyczek z Prusakami. — Także w Galicyi ruch powstał.

Rok 1848 stąd jest ważnym, że odbył się zjazd słowiański w Pradze, gdzie uchwalono starać się aby słowiańskie ludy do jedności dążyły. Był to pierwszy początek do łączenia się Słowian.

(Dokończenie nastąpi.)

HALUSIA.

(Pastuszka gąsek.)

(Ciąg dalszy).

Tak mała Halusia wiernie danego słowa dotrzymywała, codzień odwiedzała samotnego Jezusa na krzyżu w kapliczce, a doglądając gąsek na krzyż patrzyła, z Zbawicielem rozmawiała, śpiewała, kapliczkę zamyślała, na ołtarz codzień świeże kwiatki sypała, i codzień świeży wianek z najpiękniejszych kwiatów Panu Jezusowi przynosiła. Często, bardzo często, przychodząc w południe do kapliczki, zastawała w niej siwego staruszka, pielgrzyma lub ubogiego, który się modlił przed krzyżem, a dziecinie dzięki składał za niespodziane posilenie, za chleb i jagody. Wtedy tak się lubo robiło na sercu małej pastuszki, jakby Pan Jezus wstępował do jej duszyczki, jakby nie na ziemi, ale w niebie była — i bardzo szczęśliwa wracała z gąskami do chatki na wzgórze.

Tak Halusia całą wiosnę i całe lato ganiła gąski w zielone pole, nad modrą rzeczką i odwiedzała Pana Jezusa w kapliczce. Przyszła już późna jesień: listki z drzewa opadły, drzewa stały nagle, smutne kwiatki okwitły, już nie było z czego wleć korony dla Pana Jezusa, trawki więdną i żółknąć poczęły, dzikie gęsi czując zbliżającą się zimę odlatywały długimi rzędami do ciepła, w powietrznej drodze pogegując, i sko-

wronki już śpiewać przestały, i pszczołki już po słodycz z kwiatków na dolinę nie przylatywały, motyle znikły i muszki różne już się w kryjóWKi pochowały, i niebo zbladło i słoneczko zbladło, a chmury i mgły nad doliną często wisiały, wysokie Karpaty śniegiem pokrywać się poczęły, zimny wiatr dolatywał, smutno zrobiło się na dolinie, ciepło letowe znikło, a zima już zaglądała.

Troskliwa matka, by się jej Halusia nie zabiła, gdy ta raz wypędza gąski z podwórza, tak do niej rzecze:

Moje dzieci, wiatr zimny wieje, trawy więdną, liście z drzewa opada, minęło lato, zima się zbliża, nie będziesz już gąsek w pole ganiła, dziś już ostatni raz je wypędzisz.

Halusi liczko rumiane pobladło, i drżącym głosem zapytała:

„Mamusiu a kiedyż znówu będę gąski w pole ganiła?”

„Na wiosnę dopiero, moje dziecko“.

Pobiegła Halusia do chaty, otworzyła skrzyneczkę swoją, wyjęła z niej kilka czerwonych jabłuszek, włożyła je do koszyczka z kawałkiem chleba, w drobną rączkę wzięła gałązkę czeremchy, i poszła smutna i zapłakana za gąskami w pole nad rzeczkę. Gąski zostawiła nad wodą, w jedną rączkę wzięła koszyczek z jabłuszkami czerwonymi i chlebem, a drugą rączką lezki ocierała, i pobiegła do kapliczki. Wszystko jej się teraz smutniejszym wydawało: i dolina smutniejsza, i rzeczka Skawa smutniejsza, i niebo smutniejsze, i słoneczko smutniejsze i kapliczka smutniejsza.

Wszedłszy do kapliczki jeszcze jej się bardziej na sercu smutno zrobiło, więc płacze i łkając tak się odezwiała:

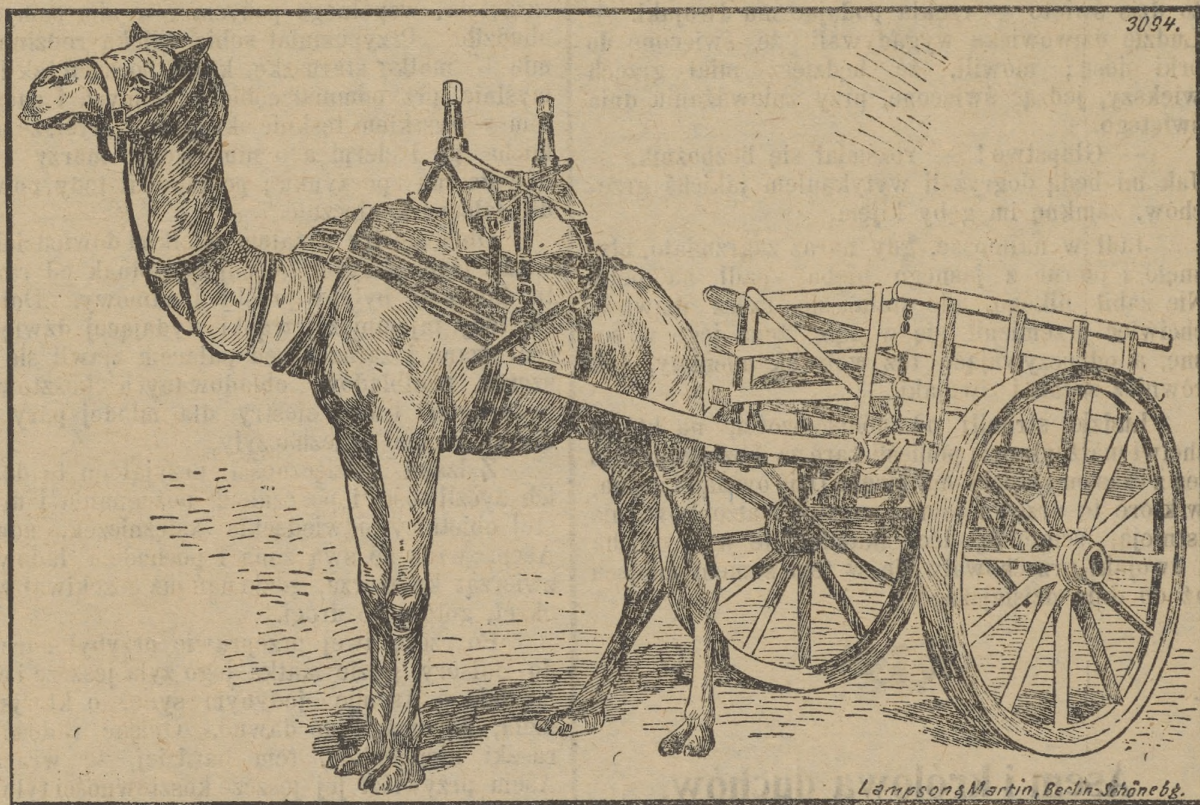
„O mój miły Panie! czy ty wiesz, co się dziś stało? — czy ty widzisz, jak ja płaczę? ale płacz mi nie pomoże — muszę matki słuchać — już ja do ciebie nie wrócę, mój Jezu kochany — już ja nie wrócę! całą zimę nie wrócę! — znówu ci Panie będzie smutno i zimno i ciemno! — ostatni raz przynoszę ci jabłuszka moje i ciepłą sukienkę na zimę!“

A odwiązując sukmankę zimową, zdjęła ją z siebie, zawiesiła na krzyżu, otuliła nią Pana Jezusa, potem cały dzień bardzo wzdychając i lamentując, żegnała z żalem ulubionego swego jedynaka, towarzysza w polu za gąskami. Już się ciemnieć poczęło, już wysokie Karpaty czarnem cieniem się pokryły, już w kapliczce się zaciemniło, a Halusia stała na progu i odejść nie chciała. Wtem pod sklepieniem kapliczki odzywa się głos tak wdzięczny, tak cichy, pełny i anielski, że dziew-

czynka zadrziała. Wyrażała usłyszała, jakby z nieba wołanie: „Halusiu! Halusiu!”

(Dokończenie nastąpi.)

wszyscy Zopole, dorównywała mu w skąpstwie. Pod tym względem stanowili parę w całym znaczeniu dobraną. Sąsiedzi, którzy trzymali się od nich z daleka, często ich przestępowali, że Bóg chciwość surowo karci, na co ów gospodarz odpowiadał hardo:



Wielbłąd, ciągnący wóz.

Kara Boża.

Daleko od nas w południowej Rosji, na Wołyniu, niedaleko stacji kolejowej Białokurowicz, znajdują się wśród pola ogromne dwa głazy czyli kamienie, podobne do pary wołów. O głazach tych opowiada lud tamtejszy następującą legendę:

Mieszkał niegdyś we wsi Zerewce, na Polesiu bogaty gospodarz, niesłychany chciwiec. Miał już dość grosza, schowanego w ulu pszczelnym, mimo to wciąż tylko myślał o tem, aby zebrać więcej. Żona, którą sobie wynalazł we

— Ja tam nikogo się nie boję. Pieniądz i topór, to u mnie siła i prawo, i wiara.

— Grzech słuchać takiego gadania — oburzali się sąsiedzi. — Ale wy nie tylko słowem bluźnicie. Pono nawet w świętą niedzielę rąbiecie drzewo?

— Ano rąbię i nic mi się nie stało — brzmiała urągliwa odpowiedź. — Bo mi to święta nie dziela! Drwię sobie z księżyich przykazań, nie stoję o nie. Aby was przekonać, że słów na wiatr nie rzucam, pójdę orać w samą Wielkanoc.

Bezbożnik dotrzymał przechwałki. W pierwsze święto Wielkiejnocy założył woły do sochy i udał się na pole. Ludzie zegnali się ze zgrozą,

widząc taką obrazę Boską, a chciwiec śmiał się, podrwiwając:

— Ot, jeszcze korzec pieniędzy wyorzę, obaczycie.

Wyjechał na swoje pole, zapuścił sochę w ziemię, popędził woły i orać zaczął.

W czas niejaki żona przyniosła mu obiad.

— Masz tu oto i święconą paskę i jaja, boć to dziś święto — rzekła podając mu dwojaki. — Ludzie dziwowiska wygadywali, że święcone do orki niosę; mówili, że będziesz miał grzech większy, jedząc święcone, przy znieważaniu dnia świętego.

— Głupstwo! — rozśmiał się bezbożnik. — Jak mi będą dogryzali wytykaniem jakichś grzechów, zamknę im gęby kijem.

Jadł w najlepsze, gdy naraz zagrzmiało, błysnęło i piorun z jasnego nieba spadł na pole. Nie zabił nikogo, ale stała się rzecz dziwna: chciwiec przemienił się w dąb, żona jego w sosnę, a odpoczywające tuż woły skamieniały, jak również socha i dwojaki.

Ludzie stronili od miejscowości, na której chciwi małżonkowie ponieśli karę za bezbożność, to też z czasem porosła ona lasem. Dziś ów dąb i sosna, w które to drzewa piorun zmienił małżonków, nie istnieją, ścięto je, lecz skamieniałe woły, socha i dwojaki przechowały się w tem samym miejscu aż do dnia dzisiejszego.



Asem i królowa duchów.

(Ciąg dalszy.)

Ciągle tylko błagała o uwolnienie, odmawiając często pożywienia i myśląc nieustannie o utraconej rodzinie.

Czas jednak, jak twierdzi przysłowie, jest wielkim lekarzem; goi on najcięższe rany — łagodzi najsroższe cierpienia. Po upływie kilku miesięcy i piękna księżniczka uspokajać się zaczęła; tęskniła ona mniej już za swojemi a nawet zgodziła się opuścić swe komnaty, i rozmawiać z Asemem.

Powoli, chłopiec ten miły bardzo, uprzejmy i dobry, zaczął jej się podobać coraz bardziej; widząc nareszcie, iż ją lubi i nigdy nie zgodzi się dobrowolnie na rozdział z nią wieczny, postanowiła uleść jego usilnym prośbom i oddać mu swą rękę...

Biedny Asem nieposiadał się z radości. Mieszkańki zamku, które się i do księżniczki i do młodzieńca przyzwyczaiły, wyprawiły oboju bardzo sute weselisko. Ofiarowano młodej parze część zamku na mieszkanie i licznych dworzan do posługi.

To jednak uczucie żalu i tęsknoty, które Asem brał poprzednio za złe księżniczce, dziś mimo szczęścia wspólnego pożycia i w nim samym się obudziło. Przypomniawszy sobie daleką rodzinną ziemię — matkę staruszkę, którą porzucił tak lekomyślnie, przypomniał sobie znajomych i zaczął za tem wszystkim tęsknić okropnie. Myśl, że matka kocha go i cierpi a o nim wciąż marzy — niedawała mu spoczynku; postanowił tedy powrócić do Balsory koniecznie.

Obie siostry z żalem wielkim dowiedziały się o tem jego zamiśle — pojęły jednak od razu, że tu daremne byłyby prośby i namowy. Dotknęły się tedy tajemniczej trąbki wydającej dźwięki czarowane i zaraz przed pałacem zjawił się długi szereg wielbłądów, obładowanych kosztownymi podarkami, które siostry dla młodej pary i dla matki Asema przeznaczyły.

Z łzami wdzięczności przyjął on te dowody ich życzliwości i po czułem pożegnaniu i uroczystej obietnicy odwiedzenia księżniczek, udał się Asem wraz ze swą żoną i pochodem ładownych zwierząt ku morzu, gdzie nań już oczekiwał wielki okręt, gotów do drogi.

Po szczęśliwej przeprawie przybył nareszcie do Balsory, gdzie matka jego żyła jeszcze i ciągle myślała o Asemie jedynym synu, o którym sądziła, że umarł już dawno. Opisać radość staruszki niepodobno, tem bardziej, że wracający Asem przywiózł jej jeszcze kosztowności tyle i tak oślepiającej urody synową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do obrazka.

Na obrazku widzimy wielbłąda, ciągnącego wóz dwukolny. Zaciekawi on widza o tyle, że dotąd słyszało się o tem, że wielbłąda używano do dźwigania ciężarów, ale nie do roboty za ciagowych. Jakiś pomysłowy Anglik, który z Egiptem wiedzie ożywiony handel, postanowił dla ułatwienia komunikacji przez puszcze Saharę wybudować osobnego kształtu wóz. Rzecz się powiodła i prawdopodobnie rozpowszechni się, bo transport towarów jest i wygodniejszym i donośniejszym. Mażna bowiem podobny wóz obciążyć ciężarem do 2000 kilogramów, czego wielbładowi na tułów niegdy naładować nie zdołano.